

Kwartalnik "Tatry" poleca

Labirynt

Dawid powiedział o tej wspinaczce, że była to najtrudniejsza z jego dotychczasowych. Co prawda nie przebył ich wiele, no i nigdy nie prowadził, mimo to takie stwierdzenie coś znaczy. Gdybym się bardzo starał, to mógłbym się doszukać w naszym przejściu pokonania nowego wariantu. Jednakże wraz z liczbą przebytych dróg, zaczynam rozumieć, iż wszelkiego rodzaju „zbożenia” z zasadniczej linii są nagminne, zwłaszcza na ścianach rzadziej odwiedzanych. Do tego przypominają mi się słowa Józefa Nyki, który w pewnym starym numerze „Taternika” napisał: „autorzy przejść robią, co mogą, aby owe wybrzuszenia grani podnieść do rangi turni. Podają jako nowe przejścia ścian, filarów, uskoków, które po wiele razy przechodziliśmy w latach 60, których jednak nie uważaliśmy za godne uwiecznienia w druku”.

Dzień zaczął się nieobiecująco, niebo było granatowe, a w górze wiał wiatr. Spodziewałem się marnej pogody, toteż wybrałem ścianę bliską, wysoką na 150 m, ale nieznaną mi i niepopularną. Patrzyłem na nią z lękiem. Jeszcze niewielkim, bo miałem nadzieję, że zaraz lunie deszcz, dzięki czemu szybko znajdziemy się przy sklepie, gdzie wypijemy niezasłużone piwo. Ale deszcz nie przychodził. Słońce zaczęło się śmieiej wyłaniać. Musiałem myśleć poważnie o wspinaczce i wypatrywać linii drogi.

Jak zwykle w takich wypadkach, udałem się w pobliskie zarośla kosodrzewiny. Według doktora Zdzisława Ryna, zajmującego się procesami emocjonalnymi alpinistów: „reakcje fizjologiczne w stanie lęku tworzą mechanizm »atak-ucieczka«. Ich celem jest przygotowanie organizmu do przyjęcia i odparcia niebezpieczeństwa lub też ucieczki przed nim. Do objawów fizjologicznych tego mechanizmu należą między innymi: przyspieszenie akcji serca, zwężenie naczyń obwodowych, zmiana rytmu oddychania, wstrzymanie aktywności trawiennej, pocenie się, drżenie ciała, suchość w ustach, rumieńce naczynioruchowe, biegunka”. U mnie lęk zawsze zaczyna się od tego ostatniego objawu. Jest to swoista mądrość organizmu, który niejako zdaje sobie sprawę, iż później w uprzęży, w trudnościach, na wąskiej listwie skalnej będzie trudniej. Ucieczka nie wchodziła w grę, bo jeszcze nie liznęliśmy ściany, ani nie liznął nas deszcz.

Kolejne objawy fizjologiczne lęku przebiegały już gdzieś poza moją świadomością. Nie notowałem ich, bo byłem zajęty wspinaniem. Suchość i pragnienie są notoryczne, zawsze jest za mało picia, tak jak zawsze plecak jest za ciężki. Z aktywnością trawienną mam dokładnie tak, jak dr Ryn pisze: nie odczuwam łaknienia do czasu zejścia w dolinę. Patrząc już na ścianę z bliska, byłem przygotowany wewnętrznie i fizjologicznie do ataku. Nie mogłem jedynie ustalić linii naszej drogi. Droga polska, którą chciałem pierwotnie powtórzyć, wydawała mi się zamknięta pasem przewieszek w jednej trzeciej wysokości ściany. Inne drogi też nie rokowały łatwego pokonania tychże. Na filarze, najłatwiejszej orientacyjnie formacji tej ściany, rozpoczynał wspinaczkę inny zespół. Miałem ochotę na przejście ściany, tym bardziej że stawała się zawila, nie miała wyraźnie wyodrębnionych formacji, a grzędy, rysy, rynny tworzyły na niej osobliwą siatkę przecinających się linii. Intrygowała mnie jej struktura, jej zagadkowość, a wreszcie jej smak...

„Lęk może zwiększyć szybkość i efektywność czynności psychicznych, bądź też przeciwnie – zwłaszcza gdy jest zbyt silny – spowodować spadek procesów życiowych, a nawet śmierć” – dr Ryn. Ja musiałem się znajdować po stronie efektywności, bo postanowiłem się jednak rozprawić z tą niepozorną ścianą, za cenę niepewności podążania własnym wariantem. Wybrałem – w swoim przekonaniu – najbardziej logiczny sposób dotarcia do trawiastego zachodu nad przewieszkami i już

gnałem w myślach ku niemu, jakby był cudną dziewczyną, spragnioną moich dotyków. Dawid chciał nawet tam iść z liną w plecaku. Z trudem go powstrzymałem, przekonując, że ściana nie jest taka połoga, jak nam się z dołu wydaje. Zapomniawszy o bożym świecie, uczipiony myślą i ciałem granitu, ruszyłem na spotkanie labiryntu lęku na Ważeckiej Turni.

Nie warto są zbyt wielu słów, opisy kolejnych metrów pokonywania ściany, godziny wydzierania z niej wysokości. Prowadziła mnie cały czas jakaś taternika intuicja i determinacja dotarcia na szczyt. Nim jednak wzrok dosięgnął grani, stawiałem przed sobą tylko najbliższe cele, lawirowałem między wyborami takich części ściany, które mogły mnie przepuścić wyżej. Pierwszą poważniejszą zaporą stał się wąski komin, przez który przeciskałem się z przyspieszoną akcją serca i zmienionym rytmem oddychania. Nad nim, po kilku metrach założyłem stanowisko, z pętli na wielkiej płetwie skalnej. Byłem już w linii przewieszek. Dawid wkrótce znalazł się przy mnie.

Dalej miałem do wyboru filarek z lewej, nie wiadomo, jak się kończą, albo płyty na wprost, dochodzące do trawiastego zachodu. Poszedłem niełatwymi płytami, a za nimi trawersowałem w prawo, wznosząc się skośnym zachodem ku centralnie położonemu kociołkowi z trawą. Zachód był przetykany w dwóch miejscach połączonymi płytami, które przeszedłem z rumieńcami naczynioruchowymi, bo nie było tam możliwości asekuracji. Za kociołkiem, walcząc nieco z przesztynieniem liny wbiłem się do dość ponurej i kruchej rynny, żeby zrobić kolejne stanowisko. Wykorzystywałem za każdym razem całą długość liny – sześćdziesiąt metrów, żeby skrócić maksymalnie czas przejścia. Sporo czasu zabierało mi ustalanie położenia względem innych dróg, by uniknąć zapychu, czyli sytuacji, w której suchość w gardle sięga zenitu, a lęk przybiera siłę mogącą spowodować spadek procesów życiowych.

Nim doszedł do mnie Dawid, obejrzałem ścianę nad sobą i porównałem do zdjęcia dróg na niej. Najbardziej ewidentna była polska droga, idąca głębokim kominem w przedłużeniu rynny, w której się znajdowałem. Komin nie wyglądał na czwórkowy, a nawet był w górze przewieszony. Przeraziłem się. „Sygnał niebezpieczeństwa wyzwala postawę od świata, która się wiąże z ogólną mobilizacją ustroju do ucieczki lub walki” – dr Ryn. Gdyby było gdzie uciec, to szczerze przyznałbym się do ucieczki. Ale byłem w środku zagadkowej ściany, o której nikt nie dyskutuje na forach, a ci, którzy opisują każdy centymetr skały na Mnichu albo wielkość kości, jakich należy użyć na drogach Zamarłej Turni, nie wiedzą nawet o jej istnieniu. Co oczywiście zasadniczo mnie cieszyło, aczkolwiek są takie momenty w życiu taternika, że chętnie by skorzystał z telefonu do przyjaciela. Tak więc przyszło mi walczyć. Najpierw z własnym strachem, a potem z labiryntem dróg i przełączek, które mnie otaczały.

„U większości sytuacja wspinaczki daje wzrost napięcia emocjonalnego w postaci mobilizacji wszystkich funkcji psychicznych i aktywności ruchowej skierowanej na przebieg i przedmiot wspinaczki. Stan ten daje poczucie pełniejszej integracji osobowości, a ponadto zwiększa ostrość, wyrazistość i głębię przeżywania. Ten stan odczuwany jest jako przyjemność. U alpinistów widać tendencję do jego podtrzymywania lub wzmacniania. Potrzeba przeżywania takiego napięcia jest na ogół tym większa, im bardziej życie codzienne oceniane jest jako monotonne, nudne, nie zmuszające do koncentracji, wysiłku, zwłaszcza twórczego. U mniejszej ilości osób wspinaczka górską jest aktywnością prowadzącą do zmniejszenia lub rozładowania przykrego napięcia emocjonalnego odczuwanego w warunkach codziennych, a uwarunkowanego najczęściej poczuciem frustracji czy niedostosowaniem do środowiska rodzinnego lub zawodowego” – dr Ryn.

Szedłem zmobilizowany, z wyraźną już chęcią skrócenia tego stanu. Początkowo krótki odcinek drogą polską, do nowego trawiastego zachodu, nim kawałek w prawo drogą Weinczillera z 68 roku

pod Ostry Palec, a w końcu drogą Mlezaka z 54 roku, po ładnej skale ku Prostrednej Ostrej štrbinie. Znow wyciągnąłem niemal całą długość liny. Ucieszony bliskością grani, wybierałem luz Dawidowi i napawałem się rozładowaniem przykrych napięć emocjonalnych z życia codziennego. By sięgnąć grani, brakowało mi kilkunastu metrów, które nie były tak łatwe, jak sądziłem. Długo się przystawiałem do niewinnej rysy, którą wreszcie przewyciężyłem. Za nią, w pełnej aktywności ruchowej, dostałem się do przełączki, z której mogliśmy już zejść trawkami w dolinę. Cóż z tego, skoro droga kończy się na szczycie, a ten był już tak bliski. Do tego trudności grani podane były jako trójkowe, a płyty na niej wyglądały tak zachęcająco, iż zaobserwowałem u siebie tendencję do podtrzymywania wspinaczki. Stan mojego zadowolenia uległ wyraźnemu wzmocnieniu, a przyjemność z niego wypływająca niosła mnie sama pod najbardziej gładką krawędź grani.

Nim się zorientowałem, że trudności już nie są trójkowe, a piątkowe, było za późno na odwrót. Płyty stanęły dęba, chwytły się skończyły, lęk zdeintegrował moją osobowość. Zwężenie naczyń obwodowych i drżenie ciała wymusiły na mnie założenie solidnego przelotu. Efektywność i szybkość tej czynności były doprawdy imponujące, a przede wszystkim integrujące moją duszę z ciałem. Natychmiast poczułem, że świat jest piękny, a swoje życie po prostu trzymam we własnych rękach. O, rety! Przecież trzymałem się frienda. No cóż, instykt przetrwania wziął górę nad duchem sportowej walki. Patrzyłem jeszcze przez chwilę na ten mój łącznik ze światem żywych i nie mogłem wyjść z podziwu dla własnej zręczności, dla sprytu swoich palców i dłoni, które wetknąłem po łokieć w głębię jedynej szczeliny, jaka tam była. Wariant trójkowy szedł z lewej strony, nie mogłem do niego dojść. Na wprost nie mogłem przewyciężyć dwuipółmetrowego uskoku. Pozostało mi trawersować w prawo do krawędzi, za którą się przewinałem nad Dolinę Furkotną. Był tam słaby hak – jedynka, który dobiłem. Jednak ostro i wyraziście zdałem sobie sprawę, że w tej sytuacji bezpieczniej dla mnie przy ewentualnym odpadnięciu byłoby nie zakładać przelotu, a znaleźć się od razu za kantem i zawisnąć na tym solidnym friendzie na płytach. Wzrost napięcia emocjonalnego wykrzesał z mojego organizmu mobilizację wszystkich funkcji życiowych, tak iż w kilka sekund znalazłem się nad uskokiem. Droga została zrobiona. Dosięgnąłem szczytu. Skończył się labirynt. Stałem ponad swoim lękiem.

„W treści przeżywanych emocji u alpinistów istotne znaczenie ma lęk. Za swoisty dla alpinizmu można uznać lęk prowadzący do integracji osobowości w sytuacji zagrożenia, tzn. w trudnych warunkach wspinaczki. Świadome i celowe wystawianie się na ryzyko i niebezpieczeństwo w czasie wspinaczki poprzez wzrost napięcia emocjonalnego i wyzwalanie treści lękowych mobilizuje i integruje sprawności psychofizyczne alpinistów, konieczne do pokonania trudności i uniknięcia niebezpieczeństwa. W tym znaczeniu alpinizm pełni funkcję terapeutyczną. Lęk ten jest integracyjny, ma on charakter twórczy i korzystny w kształtowaniu i dojrzewaniu osobowości” – dr Ryn.

Furkotna pode mną pławała się w resztkę wrześniowego dnia. Wiatr marszczył taflę Niżniego Furkotnego Stawu. Ja zaś integrowałem z tym wszystkim swoją zintegrowaną osobowość. Nie mniej szczęśliwy ode mnie Dawid spożywał niewyczerpane zapasy jedzenia ze swojego plecaka, jakby to właśnie one spełniały u niego najważniejszą funkcję terapeutyczną. Myślałem wciąż o przebytej drodze, o jej różnorodności, o tym, że okazała się znacznie bardziej wymagająca, niżbym sobie życzył, że była dostatecznie nasycona treściami lękowymi...

„Lęk jest jednym z wielu uczuć, jakich doznaje alpinista, a wszystkie one dają mu odczuć smak życia. Byłoby źle, gdyby w górach nie odczuwało się lęku. Byłoby to równoznaczne z nieświadomością, odbierałoby największą radość, jaką daje przewyciężanie siebie” – Walter Bonatti.

Adam Śmiałkowski

z dziennika wypraw, 18 września 2011 r.